

## Z wspomnień wczorajszych

przez Al. Li.

V.

### Fredzio.

Alfred Dacki był studentem medycyny. Obdarzony pewnymi zdolnościami, a raczej pamięcią, która mu pozwalała wiele cudzego, w przelocie chwytanego, czasami za swoje podawać, a wogóle się popisywać, w gimnazjum należał do pierwszych uczniów.

Nie małą tu grała rolę protekcja — właściwie wpływowe stanowisko ojca, który był wysokim urzędnikiem. Rodzina go ubóstwiała, znajomi stawiali dzieciom za przykład. „Bo to i zdolny i pracowity; na wszystko czas ma, i na naukę, i na zabawę”. Po walnej naradzie rodziny, na którą i Fredzio zaproszonym został, stanęło, że na medycynę wstąpi. Wuj-literat przekonał go, że przy stosunkach, jakimi rozporządza, jakoś się praktykę wyrobi, a chleb to pewny — ta lekarka. Inaczej mówiąc — z chwilą, kiedy zdecydowano, do jakiego ma wstąpić rzemiosła — stał się zamiłowanym medykiem.

Jako student zaczął używać życia; ale jednocześnie myślał o przyszłości, naturalnie własnej. Dzięki sprytowi objął sytuację, zrozumiał, co należy robić, aby się wydawać pracowitym, zyskać łaski profesorów i wszelkiej innej władzy; pracował więc to w tej, to w owej pracowni uniwersyteckiej, ogłosił nawet jakąś pracę, na którą się często powoływał, w „Medycynskom Żurnale”. (Wydawnictwo profesorów Moskali).

Powoływał się i wspominał o swej „pracy” nie zawsze jednak, nie we wszystkich sferach. Zanadto dobrym był politykiem. Były sfery, gdzie pracę naukową stawiał na plan drugi — głośno raczej mówił o sprawach i obowiązkach obywatelskich. Bo sprawy publiczne zdawały się mocno go obchodzić; mawiał, że i on już „skromne” zasługi na tem polu położył. Mówił o takich rzeczach z patosem, a wymawiając takie wyrazy, jak „ojczyzna” lub „moskal”, oglądał się uważnie wkoło siebie. W przystępie zwierzeń szeptał coś nawet o tem, że się z „socjalistami” znał, że raz nawet miał jakąś broszurkę u siebie przez noc całą; ale nieszczęście chciało, że w nocy (a nie spał tej nocy zupełnie) jakiś oficer ostrogami pobrząkiwał pod oknem jego pokoju, co zupełnie miało być podobne do brzęku ostróg żandarmskich; zarzekł się więc takich niebezpiecznych awantur, które co najmniej grubym strachem groziły.

Lubił też parafrazować na temat solidarności koleżeńskiej, a że prostaczkowie zwykle są w większości — wierzono, lubiano, wreszcie — poważano Fredzia. Bo to i konfidenjonalnie, ujawszy pod ramię, przechadzał się po salach (już to zawsze miał do każdego jaki interes) i z ręcznie podziwiał dowcip kolegi, spraszał coraz to innych do rodziców na wieczorki. No — i lubiano go.

Była, co prawda, garstka lekceważących go, ale i ci więcej kpili, niż się z nim liczyli. Wielbiciele mawiali o nim: wielki, przeciwnicy: zero!

Tak rzeczy stały, kiedy się Fredzio na trzecim kursie znalazł. Gruchnęła wieść, że się o stypendjum stara. On — syn urzędnika, on — co się swymi oszczędnościami w banku złożonemi chwalił, on — Fredzio Dacki, krewny różnych potentatów! Co prawda, że był skąpy, prawda, że o grosz dbał mocno — ale to praw do stypendjum nie dawało. Gdy stypendjum uzyskał, koledzy oburzyli się. Tu i owdzie ozwały się głosy protestu, który wreszcie formę jawnego oburzenia przybrał. Opinia ogólna zwróciła się przeciw Fredziowi, a że znalazł się odważny, niejaki Werski, który

jasno rzecz kolegom przedstawił — zerwano stosunki wszelkie z Fredziem. Wreszcie uporał się Fredzio z rodziną, która grosz chciwie przygarnąć rada była, a do banku złożyć już zdążyła — i stypendjum oddał w części. Zyskał na tem kwotkę, którą sobie niejako tytułem odstępnego zatrzymał, no i procenty bankowe za czas swego kilkotygodniowego uporu.

Powoli — i zapomniano o tej historii.

I znów spacerował pod rękę z różnymi „protegowanymi” swymi, znów na bale do siebie spraszał, znów uśmiechał się do wszystkich. Po roku — znowu stypendjum wziął. Mruczano z początku, żymano się, wreszcie nawet energiczny Werski ręką machnął, plunął i rzekł: bydlę (o kolegach) — nierogaczina (o Fredziu w szczególności); i znów Fredzio pozostał „popularnym”, jak zwykł był mawiać o sobie.

Skończył wreszcie uniwersytet.

Egzaminy postarał się zdać wcześniej niż inni, naturalnie „cum eximia laude”. Kurjerki pełne były doniesień o ukończeniu studiów medycznych przez Alfreda Dackiego. Jednego dnia donoszono, że skończył; następnego, że skończył pierwszy, wcześniej od innych; później, że — „cum eximia laude”. W kilka dni znów w „odpowiedziach od Redakcji” czytano: „Ciekawym. Wszystkim, zapytującym nas o znaczenie wyrażenia „cum eximia laude”, jakim to tytułem obdarzony został nowo mianowany lekarz p. Alfred Dacki, oświadczamy, że znaczy to — ukończenie studiów z szczególnem odznaczeniem”.

A kiedy dostał miejsce w szpitalu — został „młodym uczonym” — w Kurjerku.

\* \* \*

Minęło lat pięć. Jednej ze swych chorych (praktykowałem na prowincji) poradziłem udać się do jednego ze szpitali warszawskich na kurację.

Gdy po powrocie mię odwiedziła, po innych wielu zapytaniach, rzekłem:

— A jakież lekarz na sali ordynował?

— Dr. Alfred Dacki, odrzekła. Zna go pan?

— Znam.

— Wybacz pan, moję niedyskrecję. Co pan doktor myśli o koledze Dackim?

— Nie rozumiem pytania, odrzekłem.

— Może niestosownie zapytałam; ale bo dziwnych rzeczy dowiedziałam się o tym człowieku.

— Chcesz mi to pani opowiedzieć?..

— Powinnam. Wszyscy go tu uważacie za tak uczciwego człowieka! a jak dalekim on od prawa do miana człowieka! Słuchaj pan. Trzeciego dnia mego pobytu na sali szpitalnej, przywieziono na łóżko z mojem sąsiadującą młodą kobietę, lat dwudziestu najwyżej. Miała suchoty; wiedziała o tem, wiedzieli zresztą i ci, co biedną nauczycielkę przywieźli, wiedziała siostra miłosierdzia, orzekł felczer.

Kiedy nazajutrz doktor Dacki z kolei doszedł, do nowej chorej — cofnął się w pierwszej chwili, ujrawszy wpatrzone w siebie błyszczące oczy chorej; zerwała się — jakby uciec chciała, bronić się, lecz po chwili wycieńczona padła na łóżko.

— A, toż my przecież znajomi, — wyrzekł Dacki, — przybrawszy swój zwykły uśmiech..

Chora nie odrzekła nic. Długo zwykle badający doktor, ledwie, że ucho do bezbronnej piersi przyłożył i szybko przeszedł do łóżka następnego. Mijały dnie za dniami, a suchotnica miała się coraz to gorzej. Lekarz jednakże rzadko i to chwilę nad nią postał — wyrzekł sakramentalne: lekarstwo powtórzyć i szedł dalej. Tłómaczyła mi takie postępowanie siostra miłosierdzia tem, że Dacki zbyt